Lwów 15. Września Nr 110. Rok 1855.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr. miesięczna 40 kr. m. k. W kraju z przesełką pocztową rocznie 8 Złr.— półrocznie 4 Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k. Rycin y mód kwartal. 1 Zł. 20 kr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr. za następ. po 1½ kr. i zadopłatę 10 kr. stepl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*

JAK TO BYWAŁO.

przez

Oswalda Pietruskiego.

(Ciąg dalszy.)

VII.

Krewna królewska.

W Polsce wiele bardzo jest włości noszących nazwisko Woli. Ztąd to zapewne pochodzi, że i Wolskich mamy mnóstwo. Rodów szlacheckich noszących tę nazwę naliczono aż dwadzieścia cztery, a wszystkie mieli herby odmienne. Pomiędzy nimi był ród jeden znakomitszy, bo herb jego był książęcy. Jak między nazwiskami, tak i między włościami jedna Wola była sławniejsza od drugich. Na jej to bowiem polach, jak wiadomo, szlachta Korony i Litwy, tłumnie pod szopą zebrana, wybierała królów polskich. Nieszczęśliwe te elekcje, ile nieraz złego narobiły, i ile się przyłożyły do upadku biednej ojczyzny, ani się śniło butnej szlachcie, zadowolonej że używa i nadużywa ulubionej swobody wolnego wyboru swoich monarchów. Oj! ta Wola wiele narobiła niewoli! Ostatni widok podobnego rodzaju odbył się w roku 1764; jak gdyby w przewidzeniu, że się już więcej nie powtórzy, chwytano go spiesznie na obrazy, poszukiwane nawet przez postronnych. Lecz wróćmy do Wolskich, którzy nas mianowicie obchodzą.

Koło Radomia, sławnego z doskonałych swych sandomirskich ziemiopłodów, był folwark Powiatówką zwany; a w nim mieszkała panna Weronika Wolska, rodzona siostra pani Józefy z Wolskich Wolskiej; była to tedy ciotka rodzona naszej Anusi. Obydwie siostry pochodziły ze szlachty Wolskich, herbu Grzymała. Ród ten zamieszczony przez Niesieckiego między książąt Wolskich, pysznił niepomału ciotkę Weronikę. Niebyła ona kontenta z losu swojej siostry Józefy, która wyszła za mąż za Mikołaja Wolskiego bo ten, jak o nim mówiła, czepia się do wszystkich Wolskich, a niewie do których rzeczywiście należy. A przytem pan Mikołaj lekkie bardzo prowadził życie, własnego niewiele miał mienia, a lubił żyć i hulać z pańska. Ubolewała też nad losem jaki musiał spotkać biedną Anusię, który sobie daleko jeszcze gorzej wyobrażała; a rzeczywiście była przywiązana do swej siostrzenicy. Od czasu jak pan Mikołaj przystąpił do konfederacyi barskiej, obie siostry mieszkały razem w Powiatówce. Przy nabyciu tej małej własności, resztę swoich sum kapitalnych rozdały na prowizje. Pani Józefa wnet roztrwoniła swoje kapitaliki, i tylko w dobrem za mąż pójściu córki upatrywała zabezpieczenie przyszłego losu swego. Panna Weronika przeciwnie pozostała wyłączną właścicielką Powiatówki i miała kapitał trzydziestu tysięcy na procencie.

Przez długie lata żyły z sobą siostry jak najlepiej, ale jak to bywa często w kołach rodzinnych, złe okoliczności sprowadziły rozmaite kwasy i niesnaski; poróżniły się zgodne dotąd siostry, w skutek czego pani Józefa wyjechała z córką do Lwowa, gdzieśmy już ją zdybali. Najgorzej na tem wyszła Anusia, której ciotka przeznaczała cały swój majątek. Lecz teraz rozżalona na siostrę, postanowiła zapisać wszystko panu Maxymowi Wolskiemu, bratankowi swemu, który jedynakiem pozostał po ojcu swoim. Był to młody człowiek jeszcze, ledwie lat 22 mający, który w Warszawie pobierał wychowanie.

Tak stały rzeczy w chwili, kiedy wchodzimy do panny Weroniki, która nigdzie prawie z domu niewyjeżdżała. Radom przenosiła nad wszystkie inne miasta, mianowicie dla ładnej dosyć okolicy, wielkiego traktu, a najwięcej może dla Bernardynów i doskonałej kaszy. Powiatówka nie daleko rzeki Radomki leżąca, w miejscu suchem i wesołem miała także swoje powaby.

Nazwisko Powiatówki ztąd wzięło swoje nazwisko, iż szlachta okoliczna, powiatowa, zjeżdżała się tam zwyczajnie na zimę i wynajmywała tam pomieszkania, dla zabaw zimowych; a łatwo im to przychodziło przy sławnej żyzności ziemi Radomskiej, o której sami Radomszczanie mawiali, iż polski kraj najlepszy jest wprawdzie na całym świecie, ale nasza ziemia radomska trzyma pierwszeństwo przed wszystkiemi innemi prowincjami. Od czasu nabycia tej włości panna Weronika zajmowała sama dworskie pomieszkania i stale w niej mieszkała.

Panna Weronika licząc lat pięćdziesiąt, sucha, wysoka i blada, miała prawdziwą starej panny postawę i wszelkie temu stanowi właściwe narowy. Urszula Złotkowska respektowa i także sowicie stara panna, kucharz Błażej, parobek Jakób, trzynastoletnia Jagusia, do niedawna służąca Anusi, to była cała jej służba. Dodać do tego należy z żyjących przy jej dworze istot kilka krów, kilka koni, parę wołów, osiołek co wodę woził, dwa mopsy, cztery koty, trzy puchacze i niezliczoną ilość kanarków, słowików

i kosów, którzy dom jej zapełniali nieustającym piskiem i wrzawą.

Dom składał się z ośmiu pokoi, z których jeden szczelnie był zamknięty i nazywał się pokojem Anusi, bo zawierał szafkę, łóżeczko i niektóre inne ruchomości siostrzenicy, którą stara panna, choć się do tego nieprzyznawała, kochała zawsze i wewnętrznie bolała nad jej oddaleniem. Dla siebie samej miała panna Weronika salkę jadalną, pokój bawialny i sypialnię, którą się dzieliła z Złotkowską i Jagusią. Firanki amarantowe otaczały łożé cioci; na nim był becik puchowy przeszywany, kilka poduszek i kołdra kitajkowa, na której w dzień spały koty, a w nocy mopsy. Na boku stał kantorek, a w nim zdawkowa moneta, cukierki miętowe, tabaczka i kajety, z których się niegdyś uczyła Anusia. Na kantorku był bębenek do haftów, emaliowana tabakiera porcelanowa z konterfektem księdza biskupa Józefa Załuskiego i karty polskie, dobrze zużyte, bo ciocia lubiła wieczorami grywać z Złotkosią w szlifowanego marjasza, a nawet czasami puszczała się z odwidzającymi ją bernardynami. Inne sprzęty w domu odpowiadały prostotą swą tym przez nas opisanym; wspomniemy tylko jeszcze iż stolik w sali jadalnej wysuwał się codzień na środek pokoju, a po obiedzie oparty znowu o ścianę spoczywał kilimkiem nakryty.

Za domem ciągnął się ogród, nad którym radowała by się gdyby żyła królowa Bona, było bowiem w nim mnóstwo najrozmaitszych jarzyn; kwatery zaś obsadzone były drzewami owocowemi, sławnemi z dobrych owoców.

Jedną miała stara panna zaletę, że lubiła gości; to też zgromadzali się u niej licznie miejscowi i okoliczni, przyzwyczajeni z dawien do domu, w którym przed laty mnogie bywały zjazdy, mianowicie w czasie sześć tygodni zwykle trwającej komissyi wojskowej radomskiej i u księdza biskupa, który ongi w tym domu przemieszkiwał. Gości panna Weronika przyjmowała nader uprzejmie i miała dla nich zawsze domowe wódki, nieustępujące gdańskim, pierniczki jakby toruńskie, owoce suszone, wyborne i doskonałe sucharki.

W zimie mało wychodziła z pokoju swego, ubrana zwykle w materjalnym kapiku na głowie, trzewikach z abelkowej skóry i przestronym kaftaniku adryanowym. Humor jej był dosyć jednostajny, nie koniecznie wesoły, ale też nie bardzo zgryźliwy, prócz piątków, które susząc całe życie, przepędzała w fatalnym humorze, podzielanym wreszcie przez pannę Złotkowską. Biedna wtedy była Jagusia, biedny Błażej i biedny parobek, bo obie stare panny zrzędziły na piękne, a chcąc za pomocą głodu nieba dostąpić, męczyły i nudziły domowników niepospolicie. Koty tylko i mopsy nic na tem nietraciły, tem więcej że już zawsze zostawiano dla nich sute jedzenie z dnia poprzedniego.

— Kochana panno Urszulo! przemówiła panna Weronika po długiem dość, niezbyt wesołem milczeniu; jest dzięki Bogu wszystkiego dosyć, jest szczupak i okoń i nie jednoby się znalazło; tylko gości niema. A może też kto przybędzie jeszcze. Może kochana pani Lubowiecka?

— Wyznać potrzeba! odrzekła Złotkowska, że od czasu wyjazdu panny Anny i goście się przerzedzili.

— Mylny powód mościa panno! złe drogi temu winne; ale dzisiaj pewnie ktoś przyjedzie, bo w czasie obiadu upadł mi dwa razy widelec; to znaczy głodny gość.

— Może pan Maxym wyrwie się z Warszawy na dni parę; a nawet śnił mi się tej nocy.

— Kocham mego synowca nad wszystko, osobliwie teraz, rzekła ciocia z westchnieniem; ale nie życzę sobie, aby przerywał sobie nauki. Szkodaby tego było, bo on się dobrze aplikuje i kieruje nie tak jak panna Anna, która za edukacją jaką jej dałam jak świadczą skryptury, odpłaca mi się niewdzięcznością, wyszukując sobie podlejszy jeszcze związek, niż dawniej jej matka.

— Pani Józefowej niemyślę bronić! I niechby sobie była jechała do Galicji; ale szkoda nam tej drogiej i poczciwej dzieciny. Dobre to było, wesołe, schludne, pracowite, jakby Urszulka Kochanowskiego. Ot niech pani dobędzie kiedy klucza od jej pokoiku, niech przynajmniej pocieszymy się jej rzeczami. Jeżeli zaś myśli iść za p. Drzwiowskiego, to może dlatego że bogaty, a więc mogłaby poprawić byt matki.

— Na co jej bogatego męża, byłaby po mnie wszystko wzięła.

— Ba! kiedy to niewiedzieć kto z kraju; a pani przecie, co daj Boże amen, możesz jeszcze żyć z pół wieku.

— Jak będzie tak będzie, postanowiłam już tego roku ostatniego grudnia pisać testament na rzecz Maxyma. Co roku zabieram się do tego, ale jakoś zawsze zapomnę.

— I o panu Maxymie nie najlepiej słychać. Na wychodnem z kościoła mówiła mi pani Lubowiecka że miasto nauki chodzi na reduty, robi długi i inne nieprzyzwoitości.

— Ale przynajmniej nie myśli o mezaliansie.

W tej chwili wbiegła Jagusia ze słowikiem pokazując że się zasępił, co było złym znakiem. Panna Wolska rozruszała się nieco, i posłała co prędzej do miasta za sercem, co w ówczas na ptasie choroby jedynym było środkiem.

Podczas gdy panna Wolska rozmawiała z Złotkosią, na głównym gościńcu z Warszawy, o pół mili może od Radomia, jechało dwóch jeźdźców, mijając się ciągle z poczwórnemi i poszóstnemi pojazdami, wiozącemi obywateli ziemskich do Radomia.

Jeździec po prawej ręce, młody, przystojny i słusznego wzrostu, miał na sobie delją, futrem podbitą i siedział na rumaku gniadym siedemnastej miary. Drugi mały, krępy, barczysty, w lisiurce szaraczkowym suknem pokrytej, siedział na karej mierzynie, która drugiemu rumakowi w niczem nieodpowiadała.

Obydwa jeźdźcy sowicie byli zmęczeni i nadto zmę-

czeni, aby tak łatwo przyjść mogło do żywej jakiej między nimi rozmowy. Byli to pan Maxym Wolski i pan Ignacy Sztrom, przyjaciel pierwszego ale za pieniądze. Ten ostatni był przy palestrze i przy nadziei że kiedyś wypalestruje sobie niezłe w świecie stanowisko.

Wielka była różnica między jadącymi. Pan Maxym jak na prawego szlachcica przystało, dzielnie kierował rumakiem i siedział na nim jak przykuty; pan Igaacy zaś ledwie zdołał usiedzieć na szkapie, choć ta spuściwszy uszy po sobie, ani myślała brykać. Pierwszy z nich miał na dorodnych rysach swoich wyraz szlachetny i otwarty. Drugiego spojrzenie było uparte, zawzięte, a niepewne przytem. I ubiorem różnili się. Pan Maxym miał na sobie strój narodowy; pan Sztrom dla błota niby kuso był ubrany. Łączyła ich tylko jednakowość rogatych czapek.

— Daleko jeszcze do tej Powiatówki? zapytał palestrant, kiwając się na szkapie.

— Z pół mili jeszcze.

— Jazda ta na koniu dla nieprzyzwyczajonego djable męcząca.

— Przepraszam pana Ignacego za to; ale cóż robić, kiedy interes pilny.

— Żebyż przynajmniej dobry skutek uwieńczył nasze mozoły.

— A niechże Bóg broni, żeby ciotka nie chciała przyjąć owych dwudziestu czterech tysięcy.

— Nie znam jej, więc niewiem.

— Jak nie podpisze cessyi, będę musiał odsiedzieć, a sądy marszałkowskie ostre.

— E!... są sposoby!...

— Jakie?.

— Potem o tem, pierwej poznać muszę ciotunię, czy łatwowierna.

— Przeciwnie, nadzwyczaj podejrzliwa.

— A może niedowidzi?

— To prędzej, bo nawet lornetki używa.

— A jakie też jest jej otoczenie?. Czy od razu nie znajdziemy przeciwnika?

— Jest tam jej dawna towarzyszka, Urszula Złotkowska, uboga szlachcianka.

— Pamiętaj że panie Maxymie zająć się wyłącznie Złotkowską, a mnie zostaw ciotunię. Ja ją dziś jeszcze wyrozumiem, czy będzie można jutro stanowczy przypuścić atak. Zresztą pogadamy o tem jeszcze dzisiaj, jak będziemy sami.

— Jutro może już będzie za póżno, ja myślałem, że dzisiaj wracać będziemy.

— Ja pański przyjaciel, ale nie laufer. A potem każda ciotka to jak piramida egipska; myśli jej to hieroglify!..

— A przecież jak nie podpisze cęssyi...

— Powtarzam, że nic o tem naprzód rezonować nie można. Przyjechawszy i posiliwszy się, pan będziesz szarmantował przy Złotkowskiej, a ja tymczasem rozpoznam całe stanowisko. Gdy zaś pójdziemy do łóżek, pomówimy cichutko z sobą... bo już to z babami nie można być dosyć ostrożnym.

Zajechali nareszcie jezdcy do cioci Weroniki, i za pomocą parobka weszli do pokoju.

— A to ty!.. krzyknęła ciocia. Witajże kochany Maxiu, jaki ty dobry i poczciwy, żeś przyjechał. A co nie mówiłam, że nie darmo padali mi widelce przy stole.

— Mnie kochana cjociu zawsze magnes ciągnie do Powiatówki, a tym magnesem jest serce moje.

— Lecz któż jest ten drugi pan, jakiś towarzysz podróży!

— Prezentuję cioci dobrodziejce pana Ignacego Sztroma, jest to mój szkolny kolega i przyjaciel, który mając interes do Radomia, a kochając mnie, chciał poznać ciocię dobrodziejkę.

— Pan Ignacy Sztrom! Sztrom! to pan pewnie z okolic Pińska, bo u nas w Koronie nie słychać o takiem nazwisku.

— Przeciwnie mościa dobrodziejko! je jestem z województwa mazowieckiego, ziemi nurskiej, gdzie mój ojciec był nadleśniczym w dobrach pana Mierzejewskiego.

Pierwsze to spotkanie po prawdzie powiedziawszy bardzo było złowrogie, oboje bowiem uczuli wstręt do siebie.

Pan Maxym tymczasem bałamucił i zamawiał ciotkę jak mógł.

— Patrz kochana ciociu, mówił do niej, to jest już taki kontusz, jaki król zamyśla wprowadzić do województwa Sandomierskiego, jasno błękitny, a żupan biały także będzie mundurowym. Niechże ciocia przyzna, że mi w tym stroju do twarzy.

— Prawda że ci do twarzy, ale powiedz mi mój Maxiu, czy uczysz ty się dobrze?

— Wybornie! mam nawet zaświadczenia.

— A! to mi pokażesz?

— Nie mam ich z sobą.

— To źle; pamiętaj mi je przesłać pierwszą pocztą; czytam ja trochę po łacinie. A niezapominaj o tem, że choć je można podrzeć i spalić, zaświadczenia zawsze mieć trzeba.

— Droga ciociu wszystko to święta prawda; ale my głodni.

— O, to najłatwiej! ale czy pamiętałeś też o rulce tabaki holenderskiej dla mnie.

— Przywiozłem, i nietylko rullę tabaki, ale i inne rzeczy.

W tej chwili weszła panna Urszula; przywitał ją serdecznie pan Maxym, i przedstawił towarzysza.

Złotkowska obejrzała go z pod oka, i spytała po cichu.

— Co nam pan za suspektusa z Warszawy przywiozłeś?

— Jest to pewna i nieochybna kiedyś podpora ojczyzny, a dziś mój przyjaciel. Trzymany za wzór przez młodzież warszawską, geniusz wielki, chciał poznać Radom zbliska.

W krótce zastawiono kawę, a ciocia sutą kazała sporządzić wieczerzę.

— A wie też ciocia, że ja Jasia Drzwiowskiego widziałem w kawiarni w Warszawie.

— Winszuję aspanu.

— On się śmieje z ciotki; ja mu napomknąłem, że jadę do Powiatówki, a on kazał cioci powiedzieć, że to wszystko nieprawda, co ciotka mówi o swoich pokrewieństwach z królem Janem, z królem Leszczyńskim i z teraźniejszym królem.

— A żeby go kaczki podeptali! zawołała stara panna z ferworem. Proszę pana Sztroma, bądź sam sędzią. Praprababka moja była Malińska z domu, jej brat miał za za sobą Leszczyńską, a oboje zrodzeni ze Snopkowskiej; niechże tu sam kaduk sądzi, czy nie jasna parentela z dwoma królami. Co się tycze teraźniejszego króla, to on sam to uznał, bo przecie obligowałam Bernardynów jadących po interesie do Warszawy, aby wspomnieli królowi, że babki mego ojca siostra rodzona była za Niewiarowskim, a przecie kasztelana Krakowskiego, ojca króla Stanisława Augusta, rodzi Niewiarowska.

— To też właśnie Drzwiowski dodawał, że co do parenteli z Leszczyńskim i Sobieskim to już żadnej a żadnej nie ma, a Niewiarowskich mówił że zna dobrze i że z nami nie było żadnej konexyi i że bernachy dla wódeczki i pierniczków tak tylko skłamali przed ciocią.

— Na takie paszkwile nie warto odpowiadać, cały świat polski wie o tem. I przecież w modlitwie przed Bogiem kłamać nie będę, a przecież codzień rano i wieczór modlę się za wszystkich trzech moich kuzynów, a dla różnicy dwóch Stanisławów, przy jednym mówię: »pro Stanislao defuncto” — a przy drugiem: „pro Stanislao regnante.«

(D. c. n.)

WYBRANA.

Taką to kocham twarz wesołą
I smukłą kibić, białą płeć,
I duże oczy, wzniosłe czoło,
Z tysiąca ciebie muszę mieć.

Jesteś kobietą jakich mało,
Stworzona, aby dla mnie żyć,
Twe serce dotąd jeszcze spało,
Lecz teraz dla mnie będzie bić.

Jakiego sercu twemu trzeba,
Wybierasz męża nieochybnie,
Więc naprzód doznam z tobą nieba,
A potem.... zdradzisz mnie bezwstydnie.

H....

Miłość i cholera.

Zdarzenie prawdziwe.

(Ciąg dalszy.)

Dwie dziewczęta były siostry Broni, Wszystkie były piękne, ale Bronia najpiękniejsza bo wdzięki jej krasił zachwyt miłośny. Bronia, Wania i Winia czyli bez pieszczotnego mówiąc skrócenia Bronisława, Wanda i Jadwiga były sławne nawet w pewnem kółku Lwowskiem z swoich wdzięków, i nie jeden już młodzieniec wzdychający deklamował z przyciskiem do nich:

Trzy piękne córki było nas u matki.

Dodać potrzeba, że ta piękna trójca miała wcale przyzwoity troisty posag. Staruszka była ich babka, bo rodzice ich dziećmi odumarli, i to babki jakie bodaj by się święciły. Pani referendarzowa bowiem, jak ją zwali, miała trzy kamienice we Lwowie, i trzy wsie podolskie. Pozwolisz czytelniku, że pan Leon mógł kochać i mógł wierzyć.

Staruszek chudy i wysoki był starym przyjacielem domowym pani referendarzowej. Szambelanem go zwali naturalnie przez grzeczność, bo ojciec jego rzeczywiście gdzieś tam in partibus szambelanował. Dobry ten starowina był dotąd kawalerem, bo jak to czasem oboje staruszkowie wygadali się, — kochał się za młodu w referendarzowej nim jeszcze została referendarzową, i choć dla przyczyn rodzinnych nie mógł zostać jej mężem, pozostał jej wiernym i nigdy się już nie kochał, nigdy nie żenił. Bywało to, bywało moi panowie! rzadko i bardzo dawno!... ale to zawsze bardzo pięknie dla ludzkości, że i takie na świat wydaje exemplarze. Gdy referendarzowa owdowiała, co dopiero przed laty kilkoma nastąpiło, pan szambelan byłby się chętnie ożenił, lecz stara wdowa zaprowadziła go przed wielkie zwierciadło, i:

— To moja odpowiedź! z uśmiechem wyrzekła.

Ale że się staruszkowie serdecznie lubili, a co więcej sąsiadowali na wsi, więc szambelam pociągnął za referendarzową do miasta, gdy się ta tam dla wychowania młodych wnuczek udała, kupił w sąsiedztwie kamieniczkę i dzień prawie cały przepędzał u staruszki w lubem sobie

jakby rodzinnem gronie. Oboje nie mogli żyć bez siebie, i bez passyjansa na dwie osób, którego od lat niepamiętnych ciągnęli co wieczora, przeplatając go i to z rzadka maryjaszem do puli.

Czuły to był widok patrzyć na tę parę staruszków, jak z uprzejmą i serdeczną grzecznością mówili do siebie i patrzali na się z niezmiennem uczuciem silnej i niezłomnej przyjaźni. A jeżeli były burze między niemi, to trwały krótko, a kończyły się takiemi słowami, a nawet łzami, że trzeba było być z kamienia, by się nie rozczulić. Przy tych kłótniach, które zwykle przy kartach następowały, flegmatyczniejszy szambelan ustępował żywszej referendarzowej, i z całą układnością dawnych czasów całował pomarszczoną ale białą rączkę staruszki, która za to pogroziwszy mu kościstym paluszkiem i figlarnym uśmiechem, na znak zgody podawała złotą tabakiereczkę.

Młodym dziewczętom wszystko to się wydawało nudnem i śmiesznem, bo już to jest młodości narowem, śmiać się z wszystkiego, mianowicie dzisiaj, gdzie już rozczulanie się wypędzono z dobrych towarzystw, jako coś prostackiego, niegodnego, chłopskiego. Nie wieleśmy na tem zarobili. Nie płaczemy już, bo to śmieszne, ależ za to cóż wart ten nasz uśmiech przymuszony, pozorny, ust tylko trzymający się. Serdecznego śmiechu jak to dawniej bywało już dziś nieusłyszycie; prawda że i serce podobno wychodzi z mody jako jakiś tam próżny woreczek!... Cóż ma znaczyć w wieku, w którym wierzą tylko w pełne worki. O my jesteśmy nader praktyczni!

W głębi wszakże serc swych młodych, trzy piękne siostry lubiły staruszka choćby przez przyzwyczajenie, a nadskakiwały mu z wielkiem uszanowaniem dla wieku i dla ogromnej wsi, prócz kapitałów znacznych, które posiadał starzec bezdzietny.

Otóż i cały stosunek tego towarzystwa, które pochodziwszy jeszcze nieco po ogrodzie, wsiadło wkrótce do powozu i znikło w kurzawie ozłoconej promieńmi zachodzącego słońca.

We trzy dni potem, a zatem d. 20 czerwca, prosto z kancelaryi przyszedł pan Leon do referendarzowej, która lubiła go dosyć i po nie małym wydatku wyniuchanej tabaki i słodkich tłumaczących słów poczciwego szambelana, pogodziła się już z tą myślą, że jej wnuczka zostanie żoną praktykanta.

— On może wysoko wyjść! mówił szambelan z dobrodusznym wyrazem. Czyż to jeden mamy przykład?.

— Ej! daj już asindziej pokój z takiem wychodzeniem, odrzekła staruszka z westchnieniem: niechcę ja tych przykładów słuchać... lepiej tej miłości nie było by.

— Zapewne!... ale cóż robić.

— Zażyjmy tabaczki!... kochają się!... niech się pobiorą!... oni już należą do nowego świata.... a mój to chyba już tam...

— Kochana pani!...

I oboje staruszkowie spojrzeli w niebo, a zamarzyli o przeszłości myślą i łzami. Zrozumieli się staruszkowie i spojrzeli na siebie z rozczuleniem.

Owoż pan Leon wszedłszy d. 20 czerwca do znanego sobie pomieszkania, zastał wszystkich razem jak zwykle w salonie. Panny młodsze coś tam uibyto robiły przy oknach prowadzących na ulicę, a Bronia czytała jakąś czułą pewieść, z szyderczym uśmiechem na pięknych ustach. Czuli kochankowie powieści wydali jej się mieszkańcami Syberyi obok tego włoskiego Wezuwiusza, co gore w piersi, a oczami płomień wyrzuca.

Staruszkowie przy okrągłym stoliku składali karty w kupki do pasyjansa.

Skoczyły dziewczęta na widok wchodzącego, bo o tym czasie zwykle nudy poobiednie skończyły się, i wychodzili lub wyjeżdżali wszyscy na przechadzkę. A chociaż codzień prawie w jedno miejsce, zawsze to zabawniej jak patrzeć się na starego pasyjansa. Przecież na ulicy można kogoś zdybać, i miło przecie słyszeć ten szmer pochwalny, który zawsze zdybywał trzy piękne siostry.

Najżywiej skoczyła Bronia i z prawdziwem uczuciem spojrzała na młodzieńca. Leon był blady, i wydał się jej smutny jak nigdy.

— Co to? spytała przelękniona na prawdę. Co tobie Leonie? szepnęła zbliżając się do niego. Patrz Babciu! jak blady pan Leon! dodała głośno.

Wszystkie oczy zwróciły się na młodzieńca.

— Możeś słaby? ozwała się staruszka! mam ja pewne środki domowe!... powiedz co ci jest?..

— Ot zwyczajnie zmęczył się tem ciągłem siedzeniem! rzekł staruszek poprawiając okulary.

— Nic mnie nie jest! odrzekł Leon głosem wyraźnie wzruszonym. Ja zdrów jestem, ale byłem przy zdarzeniu które mnie obeszło.

— Przy zdarzeniu?... zawołały razem wszystkie trzy piękne siostry.

Zdarzenie każde to bardzo ważna rzecz!... to przecie nowy i konieczny żywioł dla ciekawości. A nic ciekawszego na zdarzenia jak miejskie panny, zepsute na brukowych nowinach.

— Cóż takiego? zawołały.

— Jeden z moich znajomych kolega kancelaryjny, siedzący tuż koło mnie, zachorował nagle na gwałtowne kurcze.

— Na kurcze!... najlepsza essencja bobrowa!... rzekła staruszka.

— Lepsza pieprzowa mięta!... dodał szambelan.

— Nie zna się na tem asindziej!... I cóż tedy?...

— Mimo ratunku wszelkiego i kilku lekarzy... we dwie godzin skończył w najokropniejszych męczarniach.

— Cóż to, czy otruty? pytała stara....

— Kto go struł? pytały młode.

— Nikt!... on umarł na cholerę!...

— Na cholerę? krzyknęli wszyscy głosami podniesionemi do wysokości przerażenia.

— Tak jest! na cholerę odpowiedział młodzieniec.

— Zkądże teraz cholera?... zagadała staruszka, głosem coraz więcej drżącym.

— Na nieszczęście tak jest!... Już dziś pewną jest rzeczą że mamy cholerę.

— Kto ma cholerę? zawołał szambelan i cofnął się za stolik aż do pani referendarzowej. Ja niemam cholery.

— Jest już niezawodnie we Lwowie. Od wczoraj do dzisiaj umarło już kilkanaście osób.

— Cholera u nas we Lwowie!.... zawołali wszyscy chórem.

— Może się mylisz panie Leonie?...

— Ja tarłem wraz z lekarzami...

— Tarłeś!... pan tarłeś! sam!... cholerycznego! odzywali się jedno po drugiem, i coraz więcej cofali się.

— Jaka nieostrożność!... zagadła Bronia z rodzajem nieukontentowania, i odsunęła się także idąc do drugich.

Leon nie uważał na to, bo żywo mu stały jeszcze przed oczami ostatnie męki konającego kolegi.

— Ale niema się czego lękać, mówił dalej. Cholera jest zapewne straszna choroba!... ale mówił mi lekarz jeden bardzo rozsądny że nie jest zaraźliwą.

— Ale gdzie tam nie zaraźliwa; ja pamiętam mości dobrodzieju w roku 1831...

— Że się też asindziej nie może odzwyczaić od tych opowiadań.

— Nic już nie pomoże myśleć i mówić o tem! zagadł Leon, gwałtem prawie zduszając w sobie wewnętrzne wzruszenie. Gdzież pójdziemy dziś na spacer?...

— Na spacer! zawołała staruszka. Ja dziś czegoś zmęczona! I już była koło drzwi.

— I nawet czas niepewny!... dodał szambelan i porwał za kapelusz.

Skłamał staruszek, bo nie było chmurki na niebie.

— Jakie to dziecińименство! trzeć samemu cholerycznych! mruczały Wania i Winia.

— Niewdzięczny! szepnęła Bronia. Ja go tak kocham a on w tej chwili zapomniał widocznie o mnie.

I panny tuliły się koło babki przy drzwiach.

Leon jak mówiliśmy był tak wzruszony, że go ledwie te wszystkie tak dziwne uderzyły powiedzenia. A gdy po chwili obejrzał się, i nikogo już nie widział w salonie, nie zastanowił się nawet nad tym kaprysem, i rad był może w tej chwili miasto gwarnej przechadzki, oddać się samotnemu dumaniu.

Poczekał chwilę w salonie i wyszedł. (C. d. n.)

Wspomnienia z podróży i wycieczek.

Przejazd po ziemi Dońskiej, przez W. D.

II.

(Dokończenie.)

Jeśli rolnictwo nie wysoko stoi u Kozaków, to uprawa wina za to jest najwięcej rozwiniętą gałęzią przemysłu, szczególniej w południowej części wzdłuż Donu i Aksaju. Podług miejscowych obliczeń statystycznych, produkcya roczna wina do 500,000 wiader dochodzi rocznie, prócz znacznej ilości wódki, pędzonej z wyciśniętych winogron. Samych win mussujących, wiele podobieństwa do szampańskich mających, do miliona butelek rocznie rozchodzi się po całem Cesarstwie.

Niemniej ważnym artykułem przemysłu, o którym wspominaliśmy, jest rybołóstwo. Najczynniejsze przy ujściu Donu, poczynając od stannicy Aksajewskiej aż do Azowa. Obliczają do 700,000 funtów samej jesiotrzyny i kawioru, a do 20 milionów sztuk innej ryby pośledniejszej, rocznie.

Chów pszczół jest także upodobanem zajęciem mieszkańców Donu. Obliczono, iż sam obwód Miński do trzydziestu kilku tysięcy liczy ulów.

Don posiada w okolicach Nowo-Czerkaska kopalnie antracytu i węgla, służącego za opał temu krajowi prawie bezleśnemu.

Ciągłe zachęty i tkliwa pieczołowitość Rządu rokują piękną przyszłość dla Donu, który z czasem śród najdogodniejszych warunków, w jakich go natura postawiła, może zakwitnąć przemysłem i rękodziełami. Lecz obecnie ten przemysł jeszcze w kolebce. Przy małej ludności robotnik nader drogi, bo pierwsze potrzeby najuboższy mieszkaniec łatwo z małą pracą zaspokoić jest w stanie. Zkąd Kozacy są obojętni na swe gospodarstwo, zdając całe na kobiety, których rękom można powiedzieć, Don po większej części winien całą roczną produkcyą i wyżywienie. Mężczyzni, zostając na służbie po nad granicą zachodnią lub na Kaukazie i w Gruzyi, po lat kilka nie oglądają chaty i roli, ani żon i dzieci. Co cztery lata pułki siadają na koń i odbywają kolejną służbę, a wróciwszy po czterech latach do gospodarstwa, są prawie obcymi i gośćmi tylko we własnym domu.

Dotąd więc większa część obszernych stepów leży odłogiem, oczekując dopóki ręka cywilizująca, z podległych berłu Rossyi ziemi nie wydobędzie obfitych plonów i nie wzbogaci tej krainy.

Cała ziemia dwie odmiennego charakteru przedstawia połowy. Kraj ku północno-zachodowi, urozmaicony wąwozami i zroszony mnóstwem strumieni i rzek, jako to: Doniec, Mjus, Kalmjus, Choper i Miedwiedzica ku północo-wschodowi. Tu uprawa łatwiejsza i rolnictwo zajmuje główniej mieszkańców niż inny przemysł. Drugą połowę składają

stepy od lewego brzegu Donu aż do granic gubernii Stawropolskiej i wzdłuż Manyczu, po granicę gubernii Astrachańskiej ciągnące się. Ta połowa pozostaje dotąd w całem znaczeniu stepem, bezwodnym prawie. Gdzie niegdzie tylko błotne strumienie sączą słonawe wody, wzdłuż których zieleniejąca stepowa trawa karmi błądzące zimą i latem tabuny koni i liczne stada bydła. Tu częściej podróżny napotyka kałmuckie koczowiska niż osady krajowców; te tylko po nad Donem, Dońcem i innemi rzekami równie jak wzdłuż głównego traktu zrzadka się rozsiadły.

Jak pod względem jeograficznego położenia, tak i na pół azyatyckiego charakteru, Dońcy są przejściem od krwi Słowiańskiej do Azyatyckiej. Brunatna ich i ogorzała fizyognomia, wyraziste rysy, oczy pełne blasku i ognisty charakter, stawią ich na granicy pomiędzy Europą a Azyą. Nie zbywa im jak Ukraińcom na wrodzonych zdolnościach. Ich umysł żywy, uczucie tęskne, ognista i żywa wyobraźnia odbijają się w ich śpiewach miłosnych i bohaterskich.

Zasługuje na uwagę urodziwość Dońskich kobiet; smukłe i hoże, twarzy białej, czarnych oczów z jasnym wzrokiem, stroją się wytwornie, mianowicie w Nowo-Czerkasku i Aksaju, w jedwabie i atlasy. Strój ich składa się z beszmetu, pięknie odbijającego na ich kształtnej kibici, kolorowej spodnicy aż do kostek sięgającej, wyhaftowanej białej koszuli. Włosy, obwinięte w jedwabną chusteczkę lub szeroką wstęgę, spadają z tyłu głowy jednym długim warkoczem. Prócz tego lubią perły i kamienie, a przepasuja się kaukazkim paskiem srebrnym lub złotym pod czernią.

Bogatsi i starszyzna staranną zaczęli dawać dzieciom edukacją. Jak u nas sprowadzają z zagranicy guwernerów i guwernantki i drogo im płacą. Francuski język dla rodziców, zdaje się tym złotym orzechem który koniecznie dziecko zgryść musi, aby posieść ziarno wszelkiej mądrości. Lecz o gruntownej edukacyi nie mają jeszcze wyobrażenia. Jak bujne stepy Dońskie, tak nie mniej odlogiem jeszcze leży umysłowość tamtejszych mieszkańców. Jest wprawdzie gimnazyum i pensya w Nowo-Czerkasku. Lecz pomimo wprowadzonych przez Rząd ku jej podniesieniu środków, ułatwiających edukacyą, bardzo wiele zależy także od samych mieszkańców, którzy nie pojmują tych dobrodziejstw. Jak dla wyższych francuski język i paryskie mody są szczytem cywilizacyi, tak znowu każdy prosty kozak, posyła syna do szkół, jedynie dla kaligraficznego uformowania sobie ręki, aby potem mógł zostać pułkowym pisarzem, urząd który w ich pojęciu jest wielkim zaszczytem.

(*G. W.*)

Rozmaitość.

* Podług nadchodzących z rozmaitych stron wiadomości urodzaje tegoroczne w przecięciu w połowie kraju są średnie, w kilku okolicach i do średnich policzyć nie można. Pszenica która z wiosny pokazała się bardzo piękna, zawiodła wszystkich. I nienamłotna jest i ziarno niedorodne. Przeciwnie żyto, którego na kopy tak mało, jest namłotniejsze. Na Podolu w wielu bardzo miejscach jęczmień chybił. Owsa wszędzie średnie zbiory. Jedynie hreczka i proso zrodziły się tego roku wszędzie prawie. Warzywa ogrodowe bardzo piękny plon wszędzie wydały. Ztąd taniość jarzyn jest wielka. We Lwowie sprzedawano po 6 kr. m. k. ogórków sto i na tę cenę kupca nie było z powodu cholery. Tegoroczna taniość jarzyn przypomina nam owego włościana z pod Lincu, który tej wiosny przyjechał był do Lwowa z ogromnemi dwoma brykami jarzyn na sprzedaż. Jakiś krewny jego, posługacz oficerski, napisał był list do domu, w którym rozpisał się o drożyznie we Lwowie. a że to była okolica w której uprawą jarzyn dla Lincu i Wiednia się trudniono, więc wspomniał głównie o drogości jarzyn, iż jedna pietruszka kosztuje 10 kr. m. k. Krewniak jego przeczytawszy list, zakupił po całej swej wsi jarzyny, wyładował dwie czworokonne bryki i ruszył do Lwowa.

Tu przybywszy po kilkotygodniowej podróży, na placu Bernadyńskim rozpakował towar i rozłożył wiązki marchwi, pietruszki i t. p. w około. Co kto go spyta co za wiązkę z kilku pietruszek składającą się, żąda, odpowiedział 2 złr. lub 1 złr. Zbiegli się ulicznicy i nuż dziwić sobie z przemyślnego kupca. Lecz już trzeciego dnia znikł z placu handlarz jarzyn z pod Lincu, zapewne na karm koni obracając swój drogi towar. Jak o naszym Zabłockim, tak o nim pewnie powstanie przypowieść: *wyszedł jak N. na pietruszce.*

* Zabawną scenę nam opowiadano. Do pracowni krawieckiej Bałutowskiego przyszedł jeden już nie młody elegant i żądał zrobienia mu jesiennego paletota. Przytem wymyślał dosyć na niezręczność tutejszych krawców. „Bo to tutaj nie umiecie nic porządnie zrobić. Ot ja musiałem ten frak który mam na sobie aż w Paryżu dawać robić, bo już tu takiego nie zrobicie."

— Jak to w Paryżu odrzecze krawiec, wszak ja ten frak dopiero przed dwoma miesiącami na miarę pańską zrobiłem i z pracowni oddałem niedawno.

— Ależ mój panie, ofuknął się elegant. Dopiero w przeszłym tygodniu, wprost z Paryża przywiózł mi ten frak mój przyjaciel pan S. Pochodzi on z pracowni która najpiękniejsze wyroby dostarczyła na wystawę paryską. — „Myli się pan odparł krawiec. Właśnie panu S. oddałem ten frak w przeszłym tygodniu; zamówił go u mnie na pańską miarę, jadąc do Paryża. I wyjął krawiec książkę i wykazał się z zapisanem zamówieniem i rachunkiem iż prawdę mówił. Skonfundowany wybiegł ów jegomość i zapewne poszedł do swego przyjaciela, który mu tak mądrą dał nauczkę.

* Z końcem tego miesiąca nowa organizacya sądów wchodzi w życie, podobno jednym z pierwszych publicznych procesów będzie sprawa o oszustwo w liwerunkach i dostawach erarjalnych. Pozawczoraj bowiem aresztowano we Lwowie kilku liwerantów głównych, starozakonnych. Mówią że i po innych miastach galicyjskich w tymże samym czasie poczyniono aresztowania z powodu tejże samej sprawy, osób do spółki liwerunkowej i dostawowej należących.

* Ryciny do przeszłego numeru przyłączone wyobrażały: Rycina pierwsza przedstawia dwa pół strojne ubiory, jeden do wód, drugi do przechadzki. Pierwsza suknia z białej tafty; stanik płaski; spodnica o czterech wś antach trzy razy liliowemi wstążkami obszywanych; rękawy bardzo krótkie, przedłużone trzema bufkami z tiulu. Na szyi rodzaj chusteczki *a l'imperatrice* z tiulu, garnirowanej dwoma rzędami korunek, których końce krzyżują się na piersi, i spadają niżej. Druga suknia od przechadzki; szlafroczek ciemny kratkowany; stanik aż po szyję zapięty guziczkami które się ciągną także aż do spodu sukni. Po wierzchu szal *Ristori*, garnirowany czarną koronką. Na głowie kapelusz słomiany garnirowany tiulem i czarną koronką, z blondynami, kwiatami i piórami białemi, czarno przewią-

zanemi. Rycina druga przedstawia 1, Kapelusz ryżowy ciemnej barwy, z dwoma po obu bokach od środka zwieszonemi bukietami z kłosów. 2. Kapelusz z białej krepy garnirowany liliowemi wstążkami. 3. Czypeczek ranny z muszlinu perskiego nakrapianego garnirowany zielonemi wstążkami. 4. Drugi czypeczek ranny z białego muszlinu kształtem swym przypominający kapelusz. 5. Kołnierzyk wiejski z perskiego muszlinu białego nakrapianego różowym groszkiem. 6, Koloretka zachodząca aż do szyi z muszlinu perskiego niebiesko nakrapianego; na przedzie ma kształt mężkiej koszuli. 7. Narzutka *Charlotte Corday* z haftowanych koronek, otwarta na przodzie, garnirowana różnemi wstążkami, które na przodzie fontaziem spajają oba końce. 8. Kacabajka ranna, biała, zakonowa, garnirowana haftowanemi koronkami z szerokiemi również haftowanemi rękawami. 9. i 10. Dwa rękawy bufowane stosowne do obu koleretek 5 i 6.

* Wczoraj przybyło do Lwowa dwóch karłów. Jeden ma lat 22. a 34 cali wzrostu, drugi 21 lat i 29 cali wzrostu. Jutro występują w krotofili Nestroja: der Eulenspiegel (Sowizdrzał.)

* Na dniu 11 września zasłabło 3, umarło 2, dnia 12 zasłabło 2, a umarło 5. Ogółem od powstania zarazy zapadło 5594, a umarło 2840 osób.

Przyjechali od dnia 12. do 13. Września do Lwowa.

PP. Schwarzenberg książę z Złoczowa. Dzieduszycki Wład. hr. z Rodatycz. Kmicikiewicz Konstantyn z Przemyśla. Szlachtowski Felix z Czerniowiec. Wodzicki Kazimierz hr. z Korzelnik. Skarbek Seweryn z Tarnopola. Kozaryn Fabian z Knioziol. Mrozowiecki Stanisł. ze Sokołówki, Ciepielowski Dyonizy ze Sambora.

PP. Gottleb Henryk z Dołhomościsk. Schurek Karol z Tarnowa. Brzeżany Maurycy z Tarnopola. Jorkasch Franc. z Sambora. Filipowski Antoni ze Sokala. Żurawski Józef z Krakowa. Kalinowski Wł. hr. z Bakowiec. Wierzbicki Julian z Kutkorza. Bartmański Józef z Tadania. Koziebrodzki Stan. ze Złoczowa.

Wyjechali od dnia 12. do 13. Września ze Lwowa.

PP. Czermiński Juliusz do Żółkwi. Korzeniowski Henryk do Rawy. Tarnowiecki Jan do Stanisławowa. Strzelecki Bronisław do Zarwanicy.

PP. Tarnowski Stanisław hr. do Stryja. Łączyński Hipolit do Żółkwi. Dzieduszycki Włod. hr. do Poturzycy. Wodzicki Kaz. hr. do Korzelnik. Mier Henryk hr. do Krakowa.

Kurs telegrafowany z Wiednia 14. b. m. o g. 2. popołud.

Augsburg za 100 złr.	113	Pożyczka 5%	$76\frac{1}{8}$ —
Hamburg za 100 tal. banco	$81\frac{5}{8}$	Akcye banku	1068
Londyn za 1 funt szterl.,	10 57	Kolej północna	$2057\frac{1}{2}$
Medyolan za 300 lirów	112	Obl. ind.	70
Paryż za 300 franków	$130\frac{1}{2}$	Nowa pożyczka z loterya	$98\frac{3}{4}$
Agio duk. ces.	$20\frac{3}{8}$	Pożyczka narodowa	$80\frac{1}{8}$

Wczorajszy Kurs Lwowski

	Gotówką				towarem.			
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	18	złr.	5	kr	21
Dukat cesarski	„	5	„	24	„	5	„	27
Półimperyał zł. rosyjski	„	9	„	7	„	9	„	10
Rubel srebrny rosyjski	„	1	„	45	„	1	„	46
Talar pruski	„	1	„	41	„	1	„	43
Polski kurant i pięciozłotówka	„	1	„	16	„	1	„	17
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	„	91	„	40		92	„	—
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		70	„	45	„	71	„	15
5 proc. pożyczka narodowa		79	„	30	„	80	„	30

☞ Do dzisiejszego numeru dołączony jest Dodatek.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**

Dodatek do dziennika „NOWINY“ Nr. 110 z roku 1855.